Ner 26. Kraków 29 czerwca 1867. Rok II.

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 70 c., *półrocznie* 1 złr. 90 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *T. Kochańskiego*.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny“, albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr, — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można za pośrednictwem wszystkich księgarń.

☞ Dla Pren. dołącza się dalszy jeden arkusz **„Biblioteki dla kobiet“.**

Numer dzisiejszy jest ostatni tego kwartału. Następny numer wyjdzie 6go lipca w sobotę.

Równouprawnienie.

(Dokończenie.)

Pani Otto mniema, żeby się łatwiéj dom dał prowadzić, gdyby kobieta niezależną będąc, sama także pieniądze zarabiała. Nam się zaś zdaje, że to, co kobieta zarobi poza domem, nie opłaci tego, co może zarobić w domu jako rządna gospodyni. — Cóż dopiero mówić o obowiązkach matki, które przy takiem życiu musiałyby często być zaniedbane.

Jesteśmy za kobiecą pracą, ale nie za pracą kobiet. Zgadzamy się jednak z panią Otto w tém, żeby wychowanie dziewcząt było gruntowniejsze i więcéj praktyczne, wymagamy nawet tego w imieniu ojczyzny, któréj lepsze matki lepszych przysposobią synów. Pani Otto utrzymuje: „że dzisiejsze dziewczęta żyją tylko dla miłości, co koniecznie zmienić należy“. My utrzymujemy nieco inaczéj, tj. „że największa ich część żyje dla próżności i znikomego powabu więcéj niż dla głębszego uczucia“. Jest to nawet jednym z dogmatów kawalerskiego katechizmu, że dziewczęta więcéj realne niż ich wielbiciele, którzy w nich ziemskich upatrują aniołów. — Cóż tedy na czasie zrobić pozostaje? Oto kształćmy je uszlachetnieniem serca, starajmy się więcéj o ich moralne i umysłowe równouprawnienie niż o materjalne, zaopatrzmy je w wiadomości, któreby im utrzymanie zapewnić mogły, gdyby tego nastąpiła potrzeba, ale nie targajmy węzłów rodzinnych, wyrywając kobietę z domowego ogniska, z grona dziatek, a osadzając ją w sklepie albo w biórze, gdyż wtedy praca kobiety poza domem raczéj straty, niż korzyści przynosi *).

Ale sprawa ta inną przybierze postać, wystąpi w pełném świetle słuszności, jeźli uwzględnimy los wdów i sierót. Ileż to biednych wdów, które za życia mężów znośny a może nawet dosyć świetny prowadziły żywot, po śmierci mężów cierpi najboleśniejszą nędzę?! Bo wszak nie wszyscy posiadamy familijny majątek. Weźmy np. urzędnika, profesora. Stanowisko ich acz nie bardzo świetne i intratne, ale przyzwoite i szanowane, zabezpiecza ich rodzinie utrzymanie dostateczne. Ale cóż się dzieje, gdy nie staje zdrowia lub życia męża żywiciela?! Igłą tyle zaledwie zarobić może pozostała wdowa, że tylko śmierć głodową przedłużać jest wstanie **).

Za pracą wdów publiczną jest tedy każdy rozumny i szlachetny człowiek, i żałować należy, że w tym względzie społeczeństwo nasze nic nie obmyślało ***).

*) A przecież wziąwszy ogół kobiet (boć niniejsza rozprawa jeżeli ma być wyczerpującą, musi cały rodzaj niewieści mieć na oku) widzimy, że większa ich część skazaną jest na pracę poza domem; jak: wyrobnice, szwaczki, magazynierki, guwernantki itd. i liczba ich rośnie z każdym dniem tak, że przerasta zakres pracy im przydzielonéj; że ta praca coraz mniejsze daje im utrzymanie; czyż więc należy występować przeciw tym, którzy pragną zakres ten rozszerzyć? Gorliwa matka i troskliwa żona choć pracować będzie poza domem, znajdzie jeszcze dość czasu do spełnienia obowiązków domowych. Również moralność kobiety, o którą się tak autor obawia, nie poniesie szwanku, jeżeli mężczyzni nauczą się szanować więcéj niż dotąd godność kobiety. (Red.)

**) A więc autor przyznaje, że tak zwana praca kobieca nie zabezpiecza utrzymania kobiety. (Red.)

***) Dla braku innego pisma, w któremby autor niniejszego artykułu mógł wystąpić do polemiki z nami — ustąpiliśmy mu miejsca w naszém, dając w tém dowód bezstronności i uszanowania cudzego zdania. Przez ścieranie się zdań przeciwnych najjaśniéj wyświeca się prawda. Zmuszeni jednak byliśmy tu i owdzie, gdzie zdanie autora wprost przeciw naszym zasadom stawało, zrobić małe uwagi. Tu robimy ostatnią i konkludującą. Cała tendencja niniejszego artykułu była wymierzoną przeważnie przeciw dziełku p. Otto, propagującéj rozszerzenie zakresu pracy kobiet. Autor sprzeciwia się temu stanowczo — w końcu jednak robi w tym względzie wyjątek dla wdów i sierót. A pytamy się, któraż kobieta może powiedzieć sobie: ja nie będę wdową ani sierotą? Każdéj więc wychowanie musi i powinno być pokierowane tak, aby w razie wdowieństwa i sieroctwa radę dać sobie mogła, czyli powinna zawczasu sposobić się w zakresie rozszerzonéj pracy, o któréj p. Otto pisze. — I nie tylko wdowy i sieroty. Bo czyż młoda panienka mająca ubogich rodziców, nie stoi pod względem materijalnym gorzéj od sieroty, zmuszona pracować nie tylko na swoje utrzymanie? Czyż żona chorego męża nie więcéj ma obowiązków niż wdowa? — Spuszczać się w takich wypadkach na pomoc i ta-

Ale nim społeczeństwo myśl swą zwróci na tę potrzebę, kobiety same coś zaradzić powinny. Jest sposób na to — stowarzyszenie. — Stowarzyszenie ma do rozporządzenia wspólnym kapitałem, produkcjami wspólnej pracy — może tedy zasilać i groszem i protekcją, nastręczaniem pracy i zarobku, któremu ono skuteczność gwarantuje. „Stowarzyszenie, to godło naszych czasów. „Wszystko, co żyje, chwyta za tę kotwicę zbawienia, „zazdroszcząc rozumu i wstydząc się wobec odwiecznego „przykładu mrówek“. — „Bez oświaty i bez stowarzyszeń nie można dzisiej mówić o produkcyi — po za niemi jest nędza materjalna i umysłowa“. — Stowarzyszenie wyzyskuje siły naukowe; stowarzyszenie zabezpiecza od ognia, gradobicia; stowarzyszenie ratuje grosz od marnienia i oszczędza na lepsze czasy; stowarzyszenie popiera naukę i pomaga uczącym się; — stowarzyszenie niech poprawi los naszych rzemieślników, niech podniesie znaczenie naszego przemysłu, niech wzbogaci kraj; — stowarzyszenie jedyna przystań dla biedy i opuszczenia wdów i sierót. Stowarzyszenie to jest celem kobiet, które chcą iść równo z duchem i potrzebami czasu. Za granicą już podobno o tém kobiety pomyślały, spodziewać się można, że szlachetne nasze Polki nie pozostaną wstecz za Niemkami w filantropii.

H.

DWA SŁOWA.

Dwa słowa idą z doczesném życiem:
To uwielbienie, tamto żal budzi;
Jedno jest dzielnéj duszy rozwiciem,
Drugie pociechą słabnących ludzi.

„Ja chcę!“ jest silnéj woli oddzwiękim,
Zdobi pałace jak i poddasze —
„Ja chciałbym!“ to żal tłumiony jękiem,
Obydwa słowa — to życie nasze!

„Ja chcę!“ żelazne słowo człowieka —
To wicher stepu chmurny i dziki,
„Chciałbym“, to wietrzyk szemrzący zlekka,
Mdlejącéj gwiazdy blade promyki.

„Ja chcę!“ to słońca jasne promienie,
To śmiałéj myśli potok skrzydlaty,
„Chciałbym“, to więźnia ciche westchnienie,
Gdy z za żelaznéj spogląda kraty.

„Ja chcę!“ powtarza człowiek bez drżenia,
Który chce zwalczać przeciwne losy;
„Chciałbym“, to słabe echo marzenia,
To dziecinnego życzenia głosy.

„Ja chcę!“ to słowo bijące wroga,
Co losy zwalcza, co światem wzrusza!
Lecz kiedy głos ten ma dojść do Boga,
To wtenczas „chciałbym“ niech szepcze dusza.

A. W.

Hermanowe grzechy i kłopoty.

II.

ZBIGNIEW.

(Ciąg dalszy.)

I zeszedł w miasto, kędy wśród ogni leżeli zbrojni jego towarzysze. Twarze ich czerwone od blasku ognia, oczy ponuro patrzące i czoła zamyślone pokazywały, że stracili nadzieję.

— Cóż tak milczkiem siedzicie? spytał śpiewak.

— Głodni jesteśmy, a nie ma, cobyśmy zgotowali przy ogniu.

— A co nam od królewicza przynosisz? spytał jeden młody.

— Pozdrowienie i nadzieję ....

— Czego? chyba śmierci?

— Nie, nadzieję walki, co lepsza, niż zgniły spokój i czekanie. Jutro o wczesném ranie Hermanowe wojsko do szturmu uderzy.

Znowu milczenie długo, poczém jeden z drużyny zapytał:

— Czy nie słychać o posiłkach jakich?

— Wasze bogi, wasza zemsta niech wam posiłkiem będą — to mówiąc uderzył w struny i śpiewać począł:

Zwycięztwo bogów na waszych mieczach leży,
Więc bezbożny, kogo strwoży śmierć blada —
Piorun bogów niech na tego upada,
Kto ze strachu świętéj sprawy odbieży.

Wygnane krzyżem bogi starego Piasta
Piorun dajcie nam na wrogów zniszczenie;
Lub pozwólcie niech gruz tego miasta
Złoży nam się w grobowe sklepienie.

Śpiewał stary, a pieśń jego lała żar zemsty i odwagi w dusze wojowników — i rozeszli się w koło na mury czekając rana. Ostrzyli miecze, znosili kamienie i zadziwieni pytali, czemu Zbigniewa między nimi nie ma? Już trąby zagrzmiały w obozie królewskim, wojsko po rannéj modlitwie szło na mury, stalowe pancerze i

skawość ludzi bardziéj może uwłaczać godności kobiety niż owa praca, za którą tak gorliwie przemawia p. Otto. — Stowarzyszenia, o których autor mówi, nie poradzą temu wiele; skromne fundusze, na jakieby się ubogie wdowy, sieroty zdobyły, wnetby się wyczerpnąć musiały niewystarczając potrzebom. — Inna zupełnie jest rzecz z innemi stowarzyszeniami; nawet prywatnych oficjalistów. Tu każdy prawie z przystępujących ma pewne utrzymanie, zabezpieczony byt i tylko obawa o przyszłość przyłącza go do stowarzyszenia, z którego kiedyś dopiero zapomogę brać będzie; gdy przeciwnie takie stowarzyszenie wdów i sierót bez rozszerzenia zakresu ich pracy, wymagałoby ciągłéj zapomogi. — W taki sposób autor mimo chęci i woli zgodził się z nami. (Red.)

zbroje lśniły się od promieni wschodzącego słońca i poranny wiatr szumiał rycerskiemi znakami. Wojsko zbliżyło się pod mury na odległość pocisku, a Zbigniew nie wyszedł jeszcze ze zamku, by swoimi dowodzić.

— Bezpiecznym się bardzo czuje syn królewski, kiedy tak długo zalega łoże.

— Bolescyto, idź obudź królewicza.

Śpiewak poszedł do zamku, ale bramy były zamknięte. Próżno kołatał, zamek jakby zaklęty milczał. Sfałdowało się wyniosłe czoło śpiewaka, oczami dziko rzucił na zamek, splunął i wrócił do swoich.

— Do broni bracia! na kamiennych murach stójmy niewzruszeni jak z głazu.

— Gdzie Zbigniew? kto nam będzie dowodził? pytały go krzyki ludu.

— Bogowie wam wodzami — za nich i z nimi walczmy.

W téj chwili gęsta chmura pocisków nadbiegła nad mury. Machiny oblężnicze podsuwano pod miasto. Lud rzucił się skwapliwie do obrony. Głazy ogromne i pociski rzucano na wdzierające się do miasta rycerstwo. Mnogo trupów padało. Wśród oblężonych Bolescyta z krwawym mieczem się uwijał i głosem rozwścieklonego wołu zagrzewał do obrony. Ale coraz mniej było broniących się, a nieprzyjaciel coraz bardziéj nastawał w znacznéj liczbie. Po świeżych trupach nowe zastępy wchodziły na wyłamane mury — nareszcie rozbito bramę i wojsko wpadło do miasta. Garstka broniących się cofała się ku zamkowi, ale bramy zamku zatrzaśnięto przed nimi, a z okna narożnéj baszty powiewała biała chorągiew: znak poddania.

— Zbigniew nas zdradził — wołali spiskowi — biada nam.

Śpiewak załamał ręce, potém wzniósł je do góry i trzęsąc niemi rzucał na zamek przekleństwa.

— Zdrajco!... wołał — bądź przeklęty. Niech cię bogowie połamią, jak ty wiarę złamałeś — niech mogiła twoich kości nie skryje, niech nawet pies nie zawyje z żalu nad twoim trupem. Bogowie, idę do was.

To mówiąc rzucił się na swój miecz i skonał.

Po trupach wszedł Władysław Herman do zamku. Zbigniew na kolanach przypełznął do nóg jego, prosząc o przebaczenie. Król odwrócił się od niego i rzekł do Sieciecha:

— Sieciechu, tobie oddaję pod straż zwyciężonego. Trzymaj go mocno w swym zamku, by nam znów buntu nie zrobił.

To mówiąc odszedł. Kilka dni zabawił w Kruszwicy karząc śmiercią jeńców; potém odjechał i miasto do szczętu zniszczyć rozkazał.

Ciąg d. nast.

Kobiety dramatów Słowackiego.

KORDJAN. — LAURA. — MIŁOŚĆ POETÓW.

(Ciąg dalszy. — Patrz Ner 15.)

Pozostają mam jeszcze do przejrzenia trzy dramata: „Kordjan“, „Ksiądz Marek“, i „Srebrny sen Salomei“, które z tego względu zasługują na szczególniejszą uwagę, że w nich najwyraźniéj odsłania się osobistość poety; w pierwszym czytamy dzieje jego serca, w dwóch następnych uwidocznia się przeobrażenie duszy poety, pod wpływem Towianizmu. Zaczynamy Kordjanem.

Sama nazwa, jaką autor dał bohaterowi, określa go doskonale. Kordjan to człowiek żyjący s e r c e m, znający wszystkie jego słabości i cnoty, burze namiętności, zachcenia sławy i pragnienia poświęceń.

Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści —

powiada w pierwszéj scenie Kordjan. Ale go to niezadowalnia, on pragnie tym uczuciom dać kierunek, cel. „Boże! woła — jednę myśl wielką rozniecć, niechaj pali żarem, a stanę się téj myśli narzędziem, zegarem, na twarzy ją pokażę, popchnę serca biciem, rozdzwonię wyrazami i dokończę życiem“. Daléj jaśniéj tłomaczy sobie ten cel życia, gdy mówi:

Więc idę rąbać nadpróchniałe drewna — stare przesądy.

Ale nie pora jeszcze; między czynem, któremu się chce poświęcić a nim, leży przepaść, pełna słowiczych śpiewów, jęków i westchnień — pełna ciemności i blasków księżycowych — róż i cierni — tę przepaść ma przebyć, na imię téj przepaści: miłość. Głos Laury woła go do niéj. Kordjan rzuca się w nią z bolesnym wykrzykiem: „Mógłem być czémś — będę niczem“.

Któż w Laurze nie pozna Ludwiki S. owéj pierwszéj kochanki poety, któréj czar trwał nad nim przez całe życie? W ostatnich jeszcze poematach poeta wyciąga ku niéj dłonie tęskniąc, skarżąc się naprzemiany. Wiemy, jak przyjęła Ludwika tę miłość; z uśmiechem pobłażania tolerowała wyznania młodszego od siebie poety, a nieraz lekkiém chłodziła go sarkazmem. Taką samą jest Laura Kordjanowi, który nieśmiało w obrazach natury chce jéj wypowiedzieć miłość swoją, mówi o obowiązkach, o przyszłości, o matce wdowie — unika wyznania i niechce go zrozumieć. Rozmowa ta Kordjana z Laurą w alei należy do najpiękniejszych miejsc. Laura piękna i sprytna, trochę kokietka, któréj pochlebia zajęcie się nią młodego człowieka, ale która nie chce doprowadzić rzeczy do końca, do ostatecznego wyznania, z giętkością właściwą kobiecie wymija wyznanie młodzieńca, któremu brak odwagi tłomaczyć się jasno. Rozmowa toczy się w półsłówkach, porównaniach, niewykończona, ledwie zaznaczona lekkiém dotknięciem; w tym poetycznym półcieniu Laura gra w ślepą babkę z miłością Kordjana. Posłuchajmy tego języka, jakim poeta-dziecko tłomaczy miłość swoją:

LAURA (z uśmiechem na pół szyderczym.)

Czemu Kordjan tak smutny?

(Kordjan patrzy na nią oczyma zamglonemi i milczy.)

Znalazłam dziś rano
W imionniku wierszami kartę napisaną —
Poznałam rękę, pióro — o nie, raczéj duszę.

(Kordjan zarumieniony, schyla się ku ziemi.)

Czemu się pan mój schyla?

KORDJAN.

Odmiatam i kruszę
Gałązki, ciernie, chwasty, z pod stóp twoich pani —
Cierń, co mi zrani rękę, nikogo nie zrani.

LAURA.

Kordjan zapomniał, że ma matkę, matkę wdowę.
Cóż to? Kordjan brwi zmarszczył, chmurzy się, rumieni.

Jak delikatnie daje jéj poeta uczuć, że jéj zimne kaznodziejskie obejście wywołało ten rumieniec na twarz jego.

Zapytaj się drzew pani: dlaczego w jesieni
Szronem dotknięte noszą liście purpurowe.
To tajemnica szronu.

Laurze zdało się, że Kordjan w tych słowach daléj zaszedł, niż sobie życzyła i przezornie zmienia rozmowę.

Usiądźmy w alei.
Któż z nas pierwszy obaczy gwiazdę dobrze znaną?

KORDJAN.

Nie ujrzę jéj, jeźli to gwiazda nadziei.

LAURA.

A jeźli gwiazda wspomnień?

KORDJAN.

O! dla mnie za rano.
Na bladą gwiazdę wspomnień.

LAURA.

Gdzież gwiazda Kordjana?

(Kordjan wznosi oczy na twarz Laury i odwraca się.)

Jak się nazywa? —

KORDJAN.

Przyszłość.

LAURA (z uśmiechem.)

W któréj nieba stronie?

KORDJAN.

O! nie wiem, nie wiem! jest to gwiazda obłąkana —
Co dnia ją trzeba tracić, co dnia szukać trzeba.

LAURA.

Kordjan ma piękną przyszłość, talenta, zdolności.

KORDJAN.

Tak, gdy mnie spalą męczarnie,
To będę świecił ludziom próchnem moich kości.

Tu słowa Kordjana coraz gwałtowniejsze, wyraźniejsze, aż się w końcu zdobywa na wyznanie, gdy mówi:

Na jednego Anioła dwóch dusz ziemskich trzeba.

Laura chcąc się wycofać strategicznie z tego trudnego położenia odzywa się:

Źle, jeźli się pan będzie marzeniem zapalał,
Prawdziwie nie pojmuję, co mu jest.

KORDJAN (ze wzgardą.)

Oszalał.

Laura odchodzi spiesznie, a Kordjan przykłada do czoła zimną lufę pistoleta.

Zmieńmy tylko nazwisko, zamiast pistoleta dajmy bohaterowi sztylet w rękę — a zobaczymy bladą twarz Gustawa (w dziełach Mickiewicza), którego także cierpienia miłości do samobójstwa wiodą. I rzeczywiście umiera dla miłości, a odradza się dla ojczyzny Konradem w więzieniach wileńskich. — Równie i Kordyjan występuje potém w spisku koronacyjnym, jako podchorąży. Te dwie postacie mają jeszcze trzecią pokrewną sobie w hrabi Henryku z Nieboskiéj komedyi. Henrykowi poecie zachciało się cichego szczęścia rodzinnego — ale wnet sprzykrzył sobie to życie, goni za dawną swoją kochanką poezją, aż przekonawszy się, że ona tylko pięknêm, ale czczém złudzeniem — inny cel naznacza swemu życiu, chęć sławy i duma rodowa gnają go na widownię polityczną i widzimy go na okopach Ś. Trójcy, odpierającego szturmujące zastępy demokratów.

We wszystkich więc tych trzech utworach ten sam układ: najprzód sprawy prywatne, dzieje wewnętrzne serca poetów — a potém arena publicznego życia i ich przekonania polityczne. Zobaczmy, jak się nam w tém zwierciedle przedstawiają indywidualności poetów. Miłość Gustawa ma początek nie w sercu, jeno w fantazyi i to w fantazyi nastrojonéj na ton ballad niemieckich. Znane zapewne wszystkim zachowanie się Mickiewicza podczas pierwszéj wizyty w domu hr. P. swojéj dawnéj kochanki. Nie witając się, usiadł przy niéj i milcząc wpatrywał się w nią. Dyskretny małżonek chcąc zostawić sposobną chwilę jednéj stronie do żalów i wyrzutów, drugiéj do usprawiedliwiań — oddalił się w inną część ogrodu z przyjacielem Mickiewicza. M. nie uważał na to, żadnêm słowem nie przerwał milczenia. Wziął za rękę p. P. i nieruchomy jak posąg patrzał w nią. Próżno pani P., dla któréj podobna sytuacja była niesłychanie przykra, starała się go pytaniami wprowadzić w rozmowę — on milczał upornie. Wreszcie poprosiła go do obiadu — poszedł za nią machinalnie — usiadł i niewypuszczając jéj ręki ze swéj dłoni, nie odrywał oczów od jéj twarzy.

W trzeciéj części Dziadów spotykamy się z tą samą sceną, co nas tym bardziéj przekonywa, że Mickiewicz skreślił dzieje własnéj miłości.

Pójdę, lecz pójdę bez broni,
Pójdę tylko spojrzeć na nią —
W salach gdzie te od złota błyszczące pijaki,
Przy godowym huczą stole,

Ja w téj rozdartéj sukni, z tym wieńcem na czole
Wnijdę i stanę przy stole —
Wtedy ona z swoim anielskim urokiem
„Gościu mój — rzecze — pozwól niech się dowiem
Zkąd przychodzisz — kto jesteś?
Ja nic nie odpowiem,
Tylko na nią cisnę okiem.
Ha! okiem, okiem jadowitéj żmii
Całe piekło z mych piersi przywołam do oka —
Niech będzie ślepą, martwą jak opoka —
Na wskróś okiem przebiję.

Czyż to znalezienie się poety w obec kochanki, a następnie te wiersze nie przypominają nam upiorów i ballad niemieckich? Był to nastrój całego wówczas kółka wileńskiej młodzieży — Leonora Bürgera porywała młodzieńczą fantazję. Gete i Szyller byli na ustach wszystkich do tego stopnia, że Mickiewicz nieraz kreśląc dzieje własnéj miłości, posługuje się słowami tych poetów jak np. „Z pałaców sterczących dumnie itd".

W miłości Kordjana widzimy znowu nastrój Bajroniczny niespokojny, demoniczny: Gustaw umyślnie wspomnieniem niby sztyletem otwiera na nowo ranę serca, by dobyć z niego wszystkie możebne tony boleści zawiedzionéj miłości; gdy przeciwnie Kordjan jest wrażliwy na obecną chwilę, na to, co go bezpośrednio uderzy, dotknie, oczaruje. Potém gotów zapomnieć.

Gustaw czyta Homera, Tassa — Kordjan dzieje nowych bohaterów Grecyi.

I jeszcze jedno. Kordjana nie porywa miłość całego, u niego wśród słów miłości słychać nieraz pragnienia czynu, poświęcenia — w tych słowach słychać zapowiedź dalszych aktów. — Gustaw zaś żyje jedném wyłączném uczuciem — miłością, po za nią nie widzi nic; dlatego odrodzenie jego dla ojczyzny w więzieniach wileńskich staje się zupełną niespodzianką dla czytelnika — miłość ojczyzny nie rozwija się u niego organicznie, ale stwarza się cudem. — I tu więc jest różnica między Gustawem i Kordjanem, tylko ich ukochane są podobniuteńkie do siebie — i bezimienna kochanka Gustawa ma tę samą receptę na uspokojenie rozbolałego serca, jaką Laura podaje Kordjanowi — i ona mówi mu o ojczyznie, nauce, sławie, przyjaciołach — „zrobiwszy go komarem, chce zmienić w Atlasa".

Pomimo tego niemieckiego sentymentalnego nastroju trzeciéj części „Dziadów", w któréj poeta rozbolałe serce z taką dokładnością z każdéj ogląda strony, mierzy głębokość ran, opisuje każdą bliznę — z téj powodzi łez, smutków wychyla się nieraz męzki hart, godność męzka, tak charakteryzująca dalsze losy poety. Umierający dla miłości Gustaw, mówi do księdza:

Słuchaj ty, jeźli cię kiedy obaczy
Pewna nadludzka dziewica-kobieta
I ciebie zapyta
Z czego umarłem? nie mów, że z rozpaczy.
Powiedz że byłem zawsze rumiany, wesoły,
Żem ani wspomniał nigdy o kochance,
Że sobie grałem w karty, piłem z przyjacioły,
Że ta pijatyka, tańce —
Że mi się w tańcu ot, skręciła noga —
Z tego umarłem.

Nie chce więc przed kochanką pokazać słabości swojéj, wstydzi się tego, jak wstydził się owéj sceny u hr. P., od których rankiem bez pożegnania wyjechał. Gustaw uderzając się sztyletem, zabija w sobie na wieki miłość i pamięć miłości, grzebie ją w sobie i nigdzie już potém nie znajdujemy wzmianki o pogrzebanéj. Słowacki z wspomnieniem téj miłości idzie przez całe życie: na Piramidach czyta jéj imie — w księżycowych nocach widzi ją obok siebie w światłości kolumnie, a choć nieraz były chwile szczególniéj w Szwajcaryi, w których inne oczy sterowały serdeczną nawą poety — to jednak niezadługo odwracał się od nich do swéj polarnéj gwiazdy krzemienieckiéj i woła:

Kochanko pierwszych dni — znów jestem twoim.

(Ciąg d. n).

Wystawa obrazów w Krakowie 1867.

(Dokończenie.)

Odwróciwszy się od obrazka p. Leopolskiego, ujrzałem prześliczną główkę kobiecą, (rozumie się malowaną) — w katalogu zapisano ją pod nazwą: „Ideału". Rzeczywiście jest ona ideałem pod względem wykonania — nie znać tam pociągów węgla, pendzla, — ale czuć życie, ciepło, nieledwie oddech rozwartych lekko ustek — oczy pełne blasku i wyrazu, a pod różowym kolorytem ciała czujesz tętniącą krew. Kosmyk włosów spadający na ramiona, namalowany jest z właściwą Amerlingowi posuniętą do złudzenia lekkością. — Druga główka, która także zwrócić musi na siebie uwagę, jest „Wesołość" przez pannę Ludwig A. w Düsseldorfie. Umieszczono ją zbyt wysoko, dlatego nie każdy mógł ją uważać, a warto było, bo była to twarzyczka, któréj najdrobniejszy rys wyrażał to, co artystka chciała przedstawić, tj. niezmąconą wesołość dziewczynki. W téj saméj sali spotykamy się z kopiją z Guido Reinego, z galeryi Barberinich w Rzymie. Kopia przedstawia sławną tragicznością swego losu Beatrix Cenci, w białym turbanie i płaszczu, akcessorja więc nie zajmują wcale oczów, za to cała uwaga koncentruje się w cudnéj twarzy. Twarz ta wychyla się z białego otoczenia jak cudowne zjawisko, na jéj delikatnych rysach nie znać wcale hi-

storyi jéj życia, ale w ciemnych dużych oczach pełnych zadumy tkwi zapowiedź strasznéj katastrofy. Kopija ta jest dziełem p. Józefy Geppert ze Gdowa. Pierwszy raz spotykamy się z tém nazwiskiem, choć delikatność i wprawa z jaką Beatrix jest malowaną świadczą o usilnych i długich studjach, które poprzedziły publiczne wystąpienie. — Mieliśmy jeszcze jednę na wystawie tegoroczném pracę kobiecą, był nią portret młodéj panienki wcale nie bez talentu i z wdziękiem właściwym kobiecie namalowany. Ponieważ jednak artystka nie dała na nim swego nazwiska i my to incognito szanować musimy. Również bar. Stein nadesłała portret swojéj roboty.

Od główek niewieścich zwrócimy się znowu do obrazów a raczéj obrazków rodzajowych. P. Kozakiewicz dał tego roku „Mrzonkę dorobkowicza" i „wycieczkę na studja". Pierwszy obrazek przedstawia starego jegomości (myśliwego nawet, jak świadczą przybory myśliwskie rozwieszone na ścianie), który szukając w Paprockim odpowiedniego herbu dla swojéj fortuny, zdrzemnął się i głowę na piersi pochylił. Kto wie czy nie lepszém było inne zatytułowanie tego obrazka, bo skromne ubranie drzemiącego i skromniejsze jeszcze sprzęty izdebki wcale nie znamionują dorobkowicza. W twarzy spalonéj od słońca, zoranéj zmarszczkami, znać, że ten człowiek przeszedł życie ciężką pracą, ale nic nie pokazuje, że się dorobił. Jestto doskonały typ ekonoma. W drugim obrazku widzimy artystę, którego w polu burza zaskoczyła, wiatr gna go naprzód, a on się opiera. Może to być rodzajem allegoryi. Obydwa obrazki są starannie wykończone, znać w nich postęp w wykonaniu, ale nie w kompozycyi. Widzieliśmy przed kilku laty obrazek tegoż artysty: „Wieśniacy przy grobie Kazimierza Wielkiego", było tam wiele do zarzucenia pod względem malowania, kompozycja była więcéj wymarzona jak prawdziwa, a jednak natchnienie artysty poważniejszym i odpowiedniejszym wtedy szło szlakiem, na większe kroiło rozmiary.

Głębszy pomysł jest w obrazie p. Picarda, przedstawiającym „Rozwiązanie klasztorów w Królestwie", lubo pendzel artysty za słaby był do oddania tego, co chciał przedstawić. Drugi ustęp z tego smutnego dramatu ostatnich lat uobrazował p. Pilecki „w grzebaniu poległych". Wieśniacy oddają tutaj tę ostatnią przysługę, chowają poległych i niosą pomoc rannym. Patrząc na ten obrazek, mimowoli dobywa się z piersi westchnienie: oby tak było.

„Gra w guziki" Lipińskiego Hipolita — i „Krawiec polityk" Boguckiego Józefa (obydwie prace uczniów szkoły sztuk pięknych), są bardzo charakterystyczne, tylko krawiec z powodu nie dość poprawnego rysunku nóg przechodzi w karykaturę.

O pracy p. Gryglewskiego „Cymborium w kościele N. M. Panny w Krakowie" i widok na pomniki „Montelupich i Cyrusów" — nie mam potrzeby się rozpisywać — artysta ten pracą doszedł do zadziwiającéj perfekcyi, która otworzyła mu wstęp na tegoroczną wystawę paryską; oprócz wspomnianéj pracy widzieliśmy jeszcze inne jego roboty, tj.: „Kaplicę Batorowską", „Kaplicę ś. Stanisława" łudząco odtwarzające nam na płótnie rzeczywistość. Artysta nie idąc bitym szlakiem i nie trzymający się szkolnéj recepty perspektywicznéj, która odleglejsze punkta każe blado znaczyć i niebieską farbą zapuszczać — nie przeszedł w manierę i zbliżył się do natury. — W „Wnętrzu kościoła ś. Anny" p. Swierzyńskiego znać postęp, który ten obraz odróżnia od jego przeszłych robót zimnych i sztywnych nieco.

W końcu nie mogę pominąć milczeniem obrazka rodzajowego Jungmana z Düsseldorfu: „Utrudniony powrót". Młoda para zakochanych wraca ze schadzki z lasku, droga prowadzi koło staréj lipy i kamiennéj ławeczki, na któréj właśnie spoczął proboszcz czy pastor. Młoda para w kłopocie, chłopiec radby się wyrwać i uciec, energiczna dziewczyna przytrzymuje go i kładąc palec na ustach, myśli nad sposobem przemknięcia się do domu. Natura tu na uczynku chwycona, pełno życia i ruchu w twarzach i postawie kochanków. Również do miłych obrazków liczy się „Sprzedane ciele" Plathnera, gdzie małe dzieci ze łzami żegnają cielę, swego przyjaciela domowego i karmią go na drogę — i „Po obiedzie" Sebasa z Brukseli; jestto maleńki, ale bardzo wdzięczny obrazek dobrze malowany. Ślicznie namalowane jest ciche szczęście domowe, ta matka z dzieciątkiem podająca cukier kanarkowi, chłopczyk czytający książkę w drugiéj izbie, — owe drzewa ogrodu widne przez okno oświecone słońcem, wszystko to ma charakter niedzielnego popołudnia. Zdaje mi się, że tylko Niemiec może namalować takie ciche domowe szczęście, bo je najlepiéj rozumie i najsmaczniéj używać umie.

Opisaliśmy więc wystawę, jak umieliśmy, szukaliśmy najdrobniejszych obrazków, o którychby coś można powiedzieć; ale w ogóle te poszukiwania mały plon dały; wszystko to obrazki, obrazeczki — żaden z nich nie kusi się ani o wielkie rozmiary płótna, ani szerokie poloty myśli. Wszystkie obliczone (proszę mi darować to prozaiczne ale prawdziwe wyrażenie) na to, aby wartością swoją zewnętrzną i wewnętrzną nie przeniosły 500 r w a. tj. aby mogły być zakupione przez Dyrekcją. Dyrekcja chcąc obdarzyć obrazami większą liczbę akcjonaryuszów, zakupuje drobniejsze obrazki, artyści znowu wiedząc, że większego obrazu niepozbędą, (bo oprócz Dyrekcyi nie ma u nas zwyczaju kupować dzieł sztuki), zmieniają swój talent na drobną monetę. Poczęści więc jest tu wina dyrekcyi, ale ta w niczem nie usprawiedliwia artystów. Dyrekcja jest dla wspierania sztuki i artystów, ale artyści nie powinni stać pod jéj naciskiem i stosować się do jéj wymagań. Gdyby tą drogą był poszedł p. Matejko, niewidzielibyśmy dziś

ego obrazu na wystawie świata. Zarzucają również nasi artyści dyrekcyi, że zakupuje obrazy zagraniczne, dość nawet mierne, ze szkodą krajowych malarzy. Nie wchodzę w słuszność tego zarzutu, ale zrobię małą uwagę, że jeżeli dyrekcja to robi, to musi choć w części być usprawiedliwioną, musi mieć powód i cel, że tak robi — należy więc to uwzględnić i skorzystać z tego, o ile się da. Corocznie widzimy tyle krajobrazów szkoły Düsseldorfskiéj, jedne lepsze, drugie gorsze; artyści nasi wyrzekają, że to są roboty tuzinkowe, manierowane. Nie przeczę, że krajobrazy, w których rzeki i jeziora różnych krajów mają ten sam charakter — muszą być nie z natury, jeno według recepty robione; ale przecież podziwiać musimy tę przeźroczystość wody, te lekkie jéj zmarszczki, po których skacze i drży światło księżyca lub słońca. Czemuż artyści nasi, szczególniéj pejażyści nie skorzystają z tego, nie podpatrzą tego sposobu? Niebiesko-biały kolor i odwrócone do góry nogami przedmioty — to jeszcze nie woda i najbujniejsza fantazja nie może złudzić oczów, że to co podobne jest do mgły, pary, kurzu, a często do niczego niepodobne, ma przedstawiać wodę. Niech krakowscy pejażyści nauczą się malować wody, lody, odległości, jak zagraniczni, a wtedy sprawiedliwie będą mogli powiedzieć dyrekcyi: teraz obrazy düsseldorfskie nie są nam już potrzebne.

W ostatniéj sali galeryi Dąbskich zobaczyliśmy rzecz tak rzadko pojawiającą się na naszéj wystawie tj. rzeźbę większych rozmiarów. Jeżeli malarstwo mało ma u nas mecenasów, to rzeźba wcale nie. Powiedziałbym, że rzeźba u nas, to jak bardzo piękna panna, którą wszyscy podziwiają, ale nikt się nie oświadcza, i skazana jest na to, że wśród powszechnéj adoracyi więdnieje i przekwita. Tak się ma z rzeźbą. Myślałem chwilowo, że ten ostracyzm sztuki wynika u nas z braku pieniędzy; ale gdym się raz przypadkowo znalazł na naszym cmentarzu, przekonałem się, że mylnie sądziłem. Ileż tam nagrobków, a raczéj domów przybyło, obywatelstwo nasze mało licząc na pamięć ludzi, kamiennemi pomnikami chce swoje imiona przekazać potomności i pisze złotem na marmurach swoje zasługi, które mniéj-więcéj ograniczają się na tém, że ten a ten żył od tego do tego roku. Przy takiéj troskliwości o nieśmiertelność nazwisk dobrze wychodzą kamieniarze, ale sztuka rzeźbiarska chudnie i umiera.

Ztąd rzadkość u nas rzeźby, a każda grupa gipsowa ma smutną przyszłość rozsypania się na proch, z którego powstała. Artysta pracujący na tém polu, dowodzi tylko wielkiego zamiłowania w sztuce; ale na materjalne korzyści liczyć nie może. Dlatego z większém uszanowaniem przystępujemy do dzieł rzeźby.

Grupa na tegoroczněj wystawie jest dziełem p. Walerego Gadomskiego, jedynego prawie dziś reprezentanta téj gałęzi sztuki w Krakowie. Grupa przedstawia „Jeremijasza zadumanego nad niedolą ludu“ — na kolanach jego wsparta usiadła na ziemi córka Syonu i ponuro wpatruje się przed siebie, jakby chciała gdzieś daleko wypatrzeć sobie lepsze losy — u nóg jéj zabite dziecko, świadectwo wymowne jéj boleści i męki. Pomysł ten wyjęty z dziejów narodu, tak pokrewnego nam losami, głębokie w patrzącym budzi uczucie.

Jakby na odpoczynek po smutném rozmyślaniu, jaki ta grupa nasuwa — stoi w drugiéj sali wspaniały klęcznik w stylu gotyckim, rzeźbiony przez Józefa Brzostowskiego — opleciony koroną cierniową — niby poważna ustroń modlitwy.

— *M.* —

O muzyce i niektórych jéj mistrzach.

(Ciąg dalszy.)

III.

Ryszardowi Wagner należy się ogromna zasługa, że pierwszy operę podniósł na tę wyżynę, na jakiéj ją chciał widzieć Gluck, który wypowiedział: że tylko ta opera jest dziełem sztuki, w któréj poeta i muzyk stoją na równym stopniu inteligencyi. Libetto winno być **kartonem**, z którego muzyka kolorami swojemi ma zrobić obraz.

Mozart ten wielki geniusz muzykalny, wziął za tekst do opery „Don Juana“, i ponieważ dla niego nic nie było niemożebném, więc i dramatycznym być umiał — ale jak sam Don Juan nie jest dramatem, tylko szeregiem scen dramatycznych, tak i muzyka nie odpowiada ze wszystkiem pojęciom opery — poświęcono tam wiele akcyi dramatycznéj na rzecz muzyki i primadonny. Beethoven w swoim „Fidelio“ trzyma się w klasycznym idealizmie, podnoszącym duszę słuchaczów do cudownego nastroju. Cherubini utrzymuje ten idealny kierunek jak święty ogień czas jakiś; ale dla swéj muzyki nie miał poety. Po nim występuje Weber z „Freischützem“, a choć tekst nie ma wyższéj poetycznéj wartości, jednak nagradza ten brak wdziękiem w portretowaniu osób i w szkicowaniu krajobrazów. „Freischütz“ jest typowo niemieckim *).

Tanhäuser i Lohengrin — to dopiero właściwe teksta do opery; w nich dopiero mamy prawdziwie poetyczne i twórcze pomysły, które przez współudział muzyki nabierają zadziwiającéj siły i piękności. Wagner muzykę poddał na usługi wymagań dramatycznych — mało u niego melodyj, przy których ucho mogłoby się zatrzymać, odpocząć i zachwycić, wszędzie recitatywująca dramatyka, w któréj nieraz duszno i która uwagę trzymać każe w męczącym nastroju. Wagner nie jest

*) O znaczeniu téj opery patrz rozprawę Dunieckiego o Moniuszce w pierwszém ćwierćroczu „Kaliny“.

oryginalnym w pojęciu muzycznêm, jeno w dramatycznêm.

IV.

Któż z nas nie radował się i niepłakał z Szubertem, czyjaż dusza jest tak wypalona, tak głęboko nędzna, żeby na głos piosenki jego nie rozbolał, nie zachwycił się. Miłość, nadzieja i młodość rozpoczęły z nim znowu swój pochód, a czas, ten wieczny włóczęga, przystanął, żeby go posłuchać. Jakże wielkiem było to serce, jak czystêm, jak zatęsknionêm — które jak mówi Heine, z swoich wielkich boleści złożyło te małe piosenki?

Franciszek Szubert, wielki poeta pieśni, którego melodje cały świat śpiewa, cierpiał nędzę całe swoje życie i umarł bez sławy — lecz dzisiaj sprawdziły się już prorocze o nim słowa Beethowena. Ale bo téż niewyczerpana jego twórczość; — umarł mając 32 lat — a zostało po nim samych pieśni 557. A obok niewyczerpanéj twórczości melodyjnéj jest odpowiednia siła harmonii i rytmu. Myśli płyną mu obficie, zmysłowa ich postać czarująca, rytmiczny oddech naturalny, nigdzie ani śladu zmęczenia. Fantazja jego nie potrzebuje snu i wypoczynku. Gdzie majątek bez miary, tam marnotrawstwo jest na swojém miejscu — musiał téż trwonić żywe zdroje, które w nim biły, bo byłyby go zalały, udusiły. Prawda, że nie ma może ani jednego większego utworu Szuberta, w którymby coś nie było do zarzucenia — ale za całe ogrody pieknie chodowanych drzew nie dałby tego kawałka dzikiéj zarośli. Któż nie doświadczył onéj potrzeby, żeby się wykrzyczeć, żeby sobie pokpić z téj śmiesznéj a nienaturalnéj etykiety i powagi w stosunkach społecznych, żeby przełamać zapory powszedności? Z Szuberta pieśni wieje ku nam ta szalona swoboda; można się tam weselić i smucić do woli. Pieśń jego — to wiosny smętna radość, która dosiada konia i pędzi po polach — jeźdźcowi pilno, chciałby biegiem sprostać serca biciu; pędzi przez groby i ciernie — w powietrzu brzmi jakiś rzewny, tęskny marsz nad głową jeźdźca. Cóż to być może? Czy śmierć, czy miłość?

Mimo cudownéj symfonii i innych instrumentalnych utworów — sławę Szuberta stanowią pieśni. Dość przytoczyć trzy wielkie zbiory: *Schwanengesang*, *Winterreise*, *Müllerlieder.* Gdzież tajemnica ich wielkiego wpływu? Pieśń, jak ją Szubert zastał, była monarchiczną, głos był panującym, towarzyszenie niewolnikiem. On pierwszy ogłosił równouprawnienie fortepianu. Czém dla rośliny ziemia, tém dla jego pieśni podstawa instrumentalna, z niéj wydobywa się głos jako najwyższy organ.

Gdyby kto chciał jakąś istotę nieświadomą spraw ludzkich poznajomić z wszystkiém, co w ludzkich piersiach gra — to zaprawdę nie ma na to lepszego sposobu, jak zapoznać ją z pieśnią Szuberta — są tam wszystkie rozkosze i skargi, na jakie nas stać.

Po śmierci Szuberta, podtrzymują pieśń Mendelssohn i Szumann; po nich Robert Franz. Szuberta pieśń ogarnia nas, czaruje — około jéj krągłych usteczek igrają wdzięczne, pełne nadobnych motywów dołki uczucia; usta te mówią co jest najpiękniejszego w duszy. Czuła piosenka z bijącém łonem, w którém drzemie cały świat słodkiéj dziewiczéj natury, z oczami tęsknemi, to pieśń Roberta Franza. Szumana pieśń duchowa, przeźrocza — lecz na jéj czole są już zmarszczki myśli, które pług ducha pociągnął. Szuberta pieśń najpiękniejsza, — Franza najgłębsza — Szumanna najrozmaitsza.

W nowszych czasach wystąpili w tym rodzaju muzyki Brahms iRubinstein. W perskich pieśniach Rubinsteina bije życie wspaniałéj, dumnéj siły natury.

(Ciąg d. n.)

Kronika literacka.

— **Branka.** Poznań 1867. — Nowy ten poemat *Teofila Lenartowicza* należy do książek, które i lud czytać może i zrozumie. Treść bardzo prosta: sierota po rekrucie wychowana we dworze, gdzie ją oddał stary dziad lirnik, urosła bardzo ładnie, ma pójść za mąż za panicza — ale narzeczonego porywają Moskale do wojska — w szeregach moskiewskich ginie on na Węgrzech — a dziewczyna zmiera z żalu. Rzecz prowadzona rytmem krakowiakowym, obrazowanie świeże, język pełen nowych zwrotów i prawdziwie ludowego zacięcia, z całości bije serdeczna miłość kraju i ludu. Inna rzecz, gdybyśmy chcieli zmierzyć ten utwór według wymagań estetycznych — wtedy należałoby wytknąć monotonią rytmu, rozwlekłość gadaniny, niedołężną budowę. Ale utwór taki trzeba brać jak piosnkę ludową nieociosaną, a jednak świeżą; nie sądzić jéj, ale się nią ucieszyć — ona jest, bo jest.

— Klementyny z Tańskich Hoffmanowéj wyszła z druku w Warszawie **Historja powszechna dla płci żeńskiéj.** — Jest to dzieło złożone z pośmiertnych rękopismów autorki.

— Równocześnie wyszły w Warszawie dwa pisma o stanowisku kobiety w społeczeństwie. Profesor szkoły głównéj Henryk Struwe wydał swój wykład publiczny **o estetycznêm wychowaniu kobiety**, a

— St. Czarnowski wydał w przekładzie z angielskiego H. T. Buckle (słynnego autora o historyi cywilizacyi) dziełko jego **Wpływ kobiet na postęp wiedzy.** — Z obu podamy obszerniejszę sprawozdanie.

— Mało komu wiadomo, że Mickiewicz pisał powieści prozą. Otóż obecnie zostało już stwierdzonêm, że w roku 1818 umieścił w Tygodniku wileńskim bezimiennie dwie powieści: **Żywila, Karylla**. Osnową obu jest miłość — wątek zaczerpnięty z dziejów znanéj miłości poety ku Maryli.

Wspólny obiad z lwowskiem gimnastycznêm Towarzystwem „SOKÓŁ" odbędzie się dzisiaj o godz. 4téj w Hotelu Saskim. — Bilet wstępu 1 zlr. — Galerja otwarta dla Publiczności. — Jakeśmy słyszeli, przybędzie do 300 gości mężczyzn i kobiet.

Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.